

Szare pudelko z Australii

Janek, jedyny syn w warszawskiej siedmioosobowej rodzinie, był oczkiem w głowie swojej mamy Katarzyny. Cztery córki, traktowane zawsze bardzo surowo, nie absorbowwały jej serca i myśli w takim stopniu jak On. Dla Janka zawsze było wszystko – eleganckie ubrania, dobry korepetytor, pieniądze. Otrzymywał to, czego zapragnął. Ojciec, który często przebywał poza domem, z obawą obserwował jego tryb życia i relacje z matką. Wybuchła wojna i nastał czas niemieckiej okupacji – pełen zagrożeń i patriotycznych uniesień. Dla Janka, studenta SGH, był to również okres miłosnych porywów. W uczuciach do dziewczyn nigdy nie był stały. Przynajmniej trzy z nich miały powód do rozpacz, gdy Janka, wówczas dwudziestolatka, schwymano w 1940 roku na ulicy podczas jednej z pierwszych łapanek i wywieziono do obozu w Oświęcimiu.

Przywykły do luksusu nie umiał się w obozie odnaleźć, przystosować do życia pełnego strachu, udręki i głodu. Matka, w przystępie szalonej rozpacz, dokonała cudu. Przekupiła złotem i dolarami wysokiego rangą niemieckiego oficera, który załatwił zwolnienie Janka z Oświęcimia. Historia zna jedynie pojedyncze takie przypadki i to wyłącznie w pierwszych miesiącach funkcjonowania obozu. W ciągu trzech miesięcy od uwięzienia Janek przerażająco wychudł. Koledzy z Warszawy odebrali go pod bramą i po całodniowej podróży wnieśli na noszach, niemal nieprzytomnego, do domu na ulicy Zielnej. Ważył trzydzieści sześć kilogramów. Zwolnienie z obozu nastąpiło niemal w ostatniej chwili, kolejnego miesiąca Janek by nie przeżył. Niedługo potem okupant stał się całkowicie bezwzględny wobec Polaków.

Na początku rekonwalescencji dostawał minimalne ilości jedzenia. Wygłodzony organizm musiał się przystosować. Troskliwie karmiony przez mamę powoli dochodził do siebie. Był bardzo zdolny, ale do nauki nie wkładał serca. Przed wojną, by oderwać go od nieciekawego towarzystwa w jakim się znalazł, wysłano go z Warszawy do gimnazjum z internatem w Radomiu. Z maturą w zębach przejechał jak szalony, na rowerze, te sto pięć kilometrów po dziurawej drodze do Warszawy, by z triumfem wręczyć ją mamie. Tuż przed okupacją zaczął studiować na SGH.

Pomysły Janka zawsze wprawiały w zdumienie. Przed wojną jego mama, idąc ulicą Górnośląską, zobaczyła jakiegoś szaleńca jadącego na rowerze w dół bez trzymanki. Pomyślała natychmiast, że niektórzy rodzice w ogóle nie troszczą się o dzieci. Powinni być ukarani! Przemknęło jej to przez głowę, gdy pędzący w dół chłopiec, śmiejąc się, nieoczekiwanie pomachał do niej. Na widok własnego syna zamarła ze strachu. Wiadomo, jak

stromy jest zjazd Górną Śląską w dół – od sejmu w stronę ulicy Myśliwieckiej. Niechybnie w domu oberwał, ale o tym historia milczy.

Jako kilkunastoletni chłopiec, podczas śniadania, chcąc popisać się przed siostrami, chwycił jajko ugotowane na twardo i zawołał:

– Kto tak umie?! Połknę całe!!!

Nikt nie potraktował serio jego deklaracji, więc zanim go powstrzymano, wepchnął je do gardła. I próbował przełknąć! W całości! Jajko utkwilo w przełyku. Oczy niemal wyszły mu na wierzch. Zaczął się dusić. Szok, krzyk, któraś z sióstr pobiegła po sąsiada lekarza. Zaczęły się konwulsje, cały zsiniał. Nie sposób opisać tego, co się działo. Gorące okłady, bicie po plecach. Miał szczęście, że go odratowano.

Wziął udział w powstaniu warszawskim w stopniu starszego strzelca w Korpusie Armii Krajowej.

Po wojnie, w 1945 r. trafił do armii amerykańskiej stacjonującej w Niemczech. Pracował jako tłumacz, później pojechał do Francji, gdzie mieszkał do 1954 roku. Miał tam partnerkę – Sophie – Francuzkę. Byli ze sobą kilka lat, ale nie chciał się z nią ożenić. Była bardzo zazdrosna, bo Jean lubił bajerować kobiety i nie zawsze robił to potajemnie. Pewnego wieczoru zorientował się, że jego Francuzka wpadła w depresję i za ciągle „numery” może chcieć się na nim okrutnie zemścić. Sophie tego wieczoru była bardzo niespokojna, stale unikała jego wzroku. Gdy spostrzegł, że długi nóż zniknął gdzieś z szuflady, przestraszył się. Uznał, że tej nocy, podczas snu, może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Wieczorem dyskretnie wziął swoje dokumenty i spakował trochę rzeczy osobistych. – Sophie! – powiedział – wychodzę kupić gauloise’y – na drugą stronę ulicy. Wyszedł po papierosy, na pięć minut, by już nigdy więcej jej nie zobaczyć.

W nocy pojechał do portu w Marsylii. Zapisał się na listę emigracyjną do Australii. Po dwumiesięcznym rejsie dotarł do portu Melbourne. Zamieszkał w Adelaide.

Początkowo pracował jako robotnik, następnie był kierowcą ciężarówki. Często obserwował rodzinę emigrantów, mieszkającą w sąsiedztwie. Okazało się, że byli z Estonii, ale... mówili wyłącznie po niemiecku. Tak poznał Marthę i... ożenił się z nią. Była od niego znacznie starsza. Wkrótce wyszło na jaw, że jest wdową po niemieckim oficerze. Przed wojną mieszkała na wyspie Saaremaa – na Bałtyku, w pobliżu Estonii i Łotwy. Dla Janka najbliższa rodzina jak i jej opinie nie miały większego znaczenia. Od końca wojny nie był w Polsce, korespondował wyłącznie z matką.

W Adelaide stał się znany i bogaty. Miał głowę do interesów. Po kilkunastu latach posiadał trzy domy w Adelaide i jeden w Szwajcarii. Żył z udzielania pożyczek i wynajmu

mieszkań. Martha raz była w Warszawie, w roku 1969. Odwiedziła rodzinę Janka i jego znajomych. Była spłowiałą blondynką, dość wysoką i szczupłą. Nie mieli dzieci. Janek, podobnie jak i ona, zapisał się w Adelaide do klubu niemieckiego. Więzy z Polską, sądząc po jego postępowaniu, nie odczuwał. Miał niezwykle pragmatyczną naturę, zawsze i na wszystkim musiał coś zyskać i zarobić.

Będąc kilka razy w Polsce, całymi tygodniami przemieszkował u rodziny, a najchętniej u najmłodszej siostry Basi. Najczęściej, najchętniej i najdłużej, bo takich obiadów nie było nigdzie! Miała wspaniałą gospozię – Zosię. Mieszkał, jadł i za nic nie płacił. W końcu – Brat! Miał świadomość, że wykorzystuje rodzinę, bo pewnego razu, gdy wrócił późną nocą, zadzwonił przez domofon i mówi:

– Tu pijawka!

I słyszy odpowiedź:

– Tu sadzawka! W trakcie pobytów w Warszawie odwiedzał dawne znajome, najczęściej – Małgosię, przedwojenną miłość. Musieli przeżywać chwile uniesień, bo Małgosia podarowała mu cenny obraz Juliusza Kossaka. Jak udało mu się wywieźć to dzieło sztuki za granicę? Na zachód Europy wrócił wynajętym w Paryżu samochodem.

Katarzyna, osiemdziesięcioletnia staruszka, nadal kochała syna bezgraniczną miłością. Po raz ostatni był w Polsce w 1970 roku, odwiedził Jastarnię i Mazury. Wyjeżdżając do Australii, nie wahał się przyjąć od niej resztek oszczędności – pięciuset dolarów przechowywanych na czarnej godzinę, które dała mu „na podróż powrotną”. Dla niej to było wszystko, co jej zostało. Dla niego zaś znaczyło tyle co nic. Chyba niewiele ojczyzna straciła z powodu jego emigracji. Z pewnością niczego nie zyskała. Od razu uprzedzał rodzinę: jak któreś z dzieci czterech sióstr chce jechać do Australii i tam pracować – mogą kupić one way ticket – dalej o wszystko martwicie się sami – ja pomagać nie będę. Nikt nie skorzystał.

Zmarł w Adelaide w 1998 roku. Wszystko co miał, zostawił w spadku rodzinie Marthy. Za to jego polskiej rodzinie przypadła rola załatwiania pochówku w Warszawie. Rodzina Marthy wysłała do Polski szare, plastikowe, szczelnie zespolone pudełko. Ta nieoczekiwana paczka, którą pewnego dnia listonosz przyniósł do mieszkania jednej z sióstr, od początku stanowiła zagadkę. Dolary czy prochy Janka? Jeśli prochy po kremacji, to tej paczki nie wysłano z zachowaniem oficjalnych procedur, jakie obowiązują w przypadku zwłok. Jest od tego specjalna firma pogrzebowa, obsługująca transport prochów do kraju – jest to usługa certyfikowana i bardzo kosztowna. Przesyłka przebiega wówczas na podstawie specjalnych międzynarodowych dokumentów granicznych. Dokonywana jest kwarantanna i wszystko odbywa się z należytym ceremoniałem. Dokumenty trafiają do urzędu miasta, są rejestrowane

i służą do uzyskania oficjalnej zgody na pogrzeb. Tymczasem, ta zwykła paczka z dalekiej Australii, wysłana przez oszczędną rodzinę Marthy, trafiła do Warszawy jak towar ze sklepu internetowego. Czyżby wyekspediowano prochy Janka bez ceregieli, najmniejszym kosztem? Siostry deliberowały nad ową paczką, szarym, nieotwieralnym podłużnym plastikowym pudełkiem, nie mając pewności, co się właściwie w niej znajduje. Ostatecznie nigdy jej nie otwarto.

Nikt nie domyśliłby się, ile zachodu kosztowało, by nakłonić Urząd Miasta Stołecznego Warszawy do pominięcia obowiązujących procedur. Naczelnik po trzech tygodniach nieustannych wizyt i próśb, po uzyskaniu potwierdzenia zarządu cmentarza o możliwości złożenia urny Janka w rodzinnym grobie, zgodził się w końcu zarejestrować oficjalnie szare pudełko jako prochy zmarłego na obczyźnie Polaka Janka i wydać zgodę na jego pochówek. Na początku listopada 1998 r. doszło w Warszawie do podwójnego pogrzebu – męża jednej z sióstr oraz Janka.

Zagadka – co znajdowało się w plastikowym pudełku – nie została rozwiązana. Z Australii nie przyszedł żaden list, który zawierałby tę, tak istotną, informację. Był wprawdzie jeden telefon, który odebrała siostra Janka, ale... ona w ogóle nie zna angielskiego!

Copyright©Wojciech.Wilczynski